

BYŁ SOBIE KRÓL...

Poczet królów wybieranych

część 2

*Moim kochanym:
żonie Róży i siostrze Renacie*

*Podziękowania dla Pawła Kowalskiego za udostępnienie bogatego księgozbioru
oraz dla Beaty Bogacz za niestrudzone szperanie w internecie.*

*Z serca dziękuję także współtwórcom niniejszej edycji cyklu Był sobie król...:
córkom Zuzce (za przepiękne ilustracje) i Jance (za redakcję i korektę),
Patrykowi Stolarzowi (za zaprojektowanie i skład)
oraz chrześniakowi Maćkowi Kowalskiemu (za fachowe i efektywne przeprowadzenie wszystkich akcji crowdfundingowych).*

Bez Was Był sobie król... nigdy by się nie ukazał w całości.

*W serii Był sobie król... ukazały się:
Poczet Piastów
Poczet Jagiellonów
Poczet królów wybieranych cz. 1
Poczet królów wybieranych cz. 2*

Mariusz Wollny (tekst)
Zuza Wollny (ilustracje)

—

BYŁ SOBIE KRÓL...
Poczet królów wybieranych
część 2

czyli historia dawnej Polski
dla każdego

wydanie I

—



—

Kraków 2019

Był sobie król... Poczet królów wybieranych

Copyright © Mariusz Wollny & Zuza Wollny

ISBN 978-83-947673-5-8

Wydawca: JAMA Mariusz Wollny

Kraków 2019

Partnerzy:



Kraków



KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Podziękowania dla wszystkich, którzy biorąc udział w sprzedaży internetowej prowadzonej na portalu wspieram.to umożliwili wydanie tej książki, a zwłaszcza nadzwyczaj hojnych sponsorów umieszczonych na okładce oraz niżej wymienionych prywatnych mecenasów:

Jacka Jąkały,

Bartłomieja Walczaka,

Piotra Szczalby,

Heleny Jaskowskiej-Kowalskiej,

Ewy i Waldemara Tomankiewiczów

oraz Moniki i Grzegorza

Wasowskich.

*Był sobie król, był sobie paż i była też królowa.
Żyli wśród róż, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna.*

(ze starej kołysanki; tekst Janina Porazińska, melodia tradycyjna)

—

Uczeni rzadko, niestety, troszczą się o przekonanie plebsu, że prawda jest piękna, o wiele piękniejsza od fikcji. Pomoc w tym względzie nadciągnąć im może z pogranicza, na którym proza naukowa styka się, a czasem przeplata, z literacką.

Istota różnicy pomiędzy uczonym historykiem, a parającym się historią literatem polega na oględności pierwszego i dochodzącym nieraz do awanturnictwa ryzykanctwie drugiego.

(Paweł Jasienica, *Tylko o historii*)

Drodzy Czytelnicy!

To już ostatni odcinek naszej opowieści o polskich władcach. W cyklu Był sobie król... czytaliście poprzednio o królach i książętach z rodzimej dynastii Piastów oraz tych z litewskiego rodu Jagiellonów, a także o pierwszych władcach wybieranych, tudzież o szlacheckiej „złotej wolności”. Teraz nadszedł czas, by się dowiedzieć, jak dalej potoczył się ten niefortunny eksperyment, czyli dojść do kresu dawnej Polski i całej i Rzeczypospolitej.

Koniec wprawdzie był żałosny, lecz po drodze trafiło się jeszcze największe zwycięstwo polskiego oręża, ustanowienie pierwszej w Europie konstytucji, a oprócz momentów tragicznych nie brakowało także komicznych, jak w życiu. Historia to podobno nauczycielka życia, więc warto poznać nie tylko chwalebną, lecz również wstydliwą, czasem przykrą prawdę, bo tylko wtedy w przyszłości być może uda nam się uniknąć kosztownych błędów naszych przodków.

Jednak na razie po prostu bawcie się dobrze podczas lektury, czego życzę Wam

Autor



KSIEGA DRUGA

(ciąg dalszy)

—
Srebrny Wiek

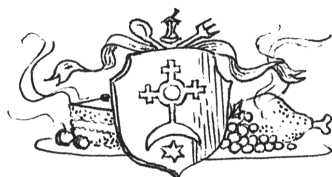
W kontynuacji tej książki poznamy następców niefortunnych królów ze szwedzkiego rodu Wazów – dwóch kolejnych władców elekcyjnych, tym razem krajowców zwanych Piastami. O ile pierwszy z nich niczym się nie odznaczył oprócz żarłoczości, to drugi, Jan III Sobieski, był jednym z naszych najwybitniejszych koronowanych wodzów.

To za jego sprawą nastąpił największy tryumf oręża polskiego – wiktoria wiedeńska, czyli rozgromienie potęgi tureckiej zagrażającej światu chrześcijańskiemu. A Król Zwycięzca, jak go powszechnie nazywano, ostatni tryumfator na polskim tronie, za jednym zamachem nie tylko ocalił całą chrześcijańską Europę przed islamem, ale zdołał także zapewnić słabnącej Rzeczypospolitej jeszcze sto lat istnienia.



MICHAŁ KORYBUT WIŚNIOWIECKI

1640–1673, panował od 1669



Z KRESÓW RODEM

Wiodąc swój ród od kniazia Korybuta Giedyminowicza, uważali się Wiśniowieccy za krewniaków panujących w Polsce i na Litwie Jagiellonów. Nie odpowiadało to prawdzie, bo ich rzeczywistymi przodkami byli książęta Zbarascy. Gniazdo rdowe Wiśniowieckich, pieczętujących się herbem Korybut, stanowił Wiśniowiec koło Krzemieńca na Wołyniu. Ale już w xvi w. przedstawiciele rodu szukali szczęścia jeszcze dalej na wschodzie – na Ukrainie.

Przodek Michała Korybuta Dymitr był założycielem Siczy Zaporoskiej. Wyprawiał się z Kozakami na „chadzki” do Turcji, aż został schwytany i zginął w mękach w Stambule w 1563 roku. Pradziadek przyszłego króla, Michał, walczył z Moskwą i Tatarami. Dziadek zaś, również Michał, rozszerzył rodowe dobra o szmat ziemi na lewym brzegu Dniepru, wydzierając ją Moskwicinom podczas „wielkiej smuty”. Zuch ów ożenił się z Rainą (Reginą), córką hospodara mołdawskiego Jeremiego Mohyły, bo jak każde „królewie” czy też „królik” kresowy marzył o koligacji z prawdziwym władcą. Wtrącanie się w walki o tamtejszy tron po stronie teścia przypłacił życiem, przypuszczalnie otruty przez mnicha podczas komunii. Jako prawosławny, i to bardzo gorliwy, przyjmował bowiem komunię pod dwoma postaciami: chleba i wina, które łatwo zatruć. Osierocił 14-letniego syna Jeremiego Michała i córkę Annę.

Ojcem przyszłego króla był kniaź na Łubniach i Wiśniowcu Jeremi (Jarema) Michał Wiśniowiecki. Mając 20 lat, po odbyciu studiów w kolegium jezuickim we Lwowie i pobycie za granicą, głównie we Włoszech, jako pierwszy w rodzie porzucił wiarę przodków. Przeszedł na katolicyzm, gdyż magnaci ruscy woleli to wyznanie od greckokatolickiego, i zaczął uważać się za Polaka. Uczynił to dla ułatwienia sobie kariery, a pewnie po

trosze, by ewentualnym truciicielom utrudnić pracę. Odtąd inni Ukraińcy, a zwłaszcza Kozacy, znienawidzili go szczególnie jako renegata i zaprzańca, „zlaszonego” Rusina.

W walkach z Tatarami i zbuntowanymi Kozakami wykazał spory talent wojskowy, choć wielkich zwycięstw nie odniósł. Bo też nie dowodził wojskami królewskimi, tylko własną armią. Utrzymywał bowiem stale 1500 żołnierzy, w tym regiment piechoty cudzoziemskiego autoramentu i 6 pułków jazdy, z tego 3 chorągwie husarskie. Kosztowało to krocie, ale było niezbędne w tych zapowietrzonych okolicach, gdzie roiło się od bandytów i grasowały czambuły tatarskie. A przy tym miał Jarema duże dochody, gdyż jego „państwo” liczyło sobie aż 18 000 km² (mniej więcej tyle, co dzisiejsze województwo). Było jednak dość rzadko zaludnione. Spory szmat leżał już za Dnieprem, gdzie bardzo brakowało ludzi do uprawiania roli. Dlatego Jarema nie chciał przyznać tamtejszym chłopom zwyczajowej wolnizny, czyli zwolnienia z pańszczyzny na czas zagospodarowania się, przez co nie cieszył się sympatią poddanych. A chociaż książę, jak wszyscy magnaci, wykręcał się jak mógł od płacenia podatków, to jednak utrzymywane przez niego prywatne wojsko pełniło publiczną rolę zabezpieczenia kresów. Podczas powstania Chmielnickiego srogi książę, który buntownikom nie dawał pardonu, wraz ze swą małą armią często stanowił jedyną zaporę dla Kozaków i jedyny ratunek dla bezlitośnie mordowanych polskich mieszczan i Żydów. Wielu z nich wyprowadził z ogarniętych wojną terenów.

Nie poparłszy Jana Kazimierza podczas elekcji, nie mógł potem liczyć na łaskę pamiętliwego króla. Toteż nie dostał dowódczego stanowiska na miarę swych zdolności. Mimo to przybył do Zbaraża i dzielnie bronił twierdzy przed szturmującymi Kozakami i Tatarami. Następnie walnie przyczynił się do wielkiego zwycięstwa pod Beresteczkiem. To sprawiło, że zapomniano mu różne grzeszki (bo warcholić umiał jak każdy magnat, zwłaszcza kresowy) i udział w „hańbie plugawieckiej”, kiedy to pod Piławcami pospolite ruszenie szlacheckie i prywatne wojsko Jaremy czmychnęły przed Kozakami na samą wieść o zbliżaniu się Tatarów. Stał się niezwykle popularny w wojsku i wśród braci szlacheckiej. Powszechnie też żałowano, gdy powaliła go epidemia dyzenterii, wybuchła tuż po beresteckiej wiktorii. Ponieważ rodzinny Wiśniowiec był w rękach powstańców, pochowano zaledwie 39-letniego księcia w kościele św. Krzyża w Górach Świętokrzyskich, gdzie zmumifikowany spoczywa w oszklonej trumnie do dziś, o ile są to rzeczywiście jego szczątki, szczęśliwie przetrwałe pożar klasztoru pod koniec XVIII w.

Powiadają niektórzy, że zmogła go nie choroba, ale trucizna podana za sprawą zawistnego hetmana Mikołaja Potockiego albo też padł ofiarą klątwy własnej matki, która przeklęła wszystkich odstępców od wiary prawosławnej, z synalem-wyrodkiem na czele.

SYN BOHATERA, CZYLI LWIE PACHOLE

Jedyny syn sławnego Jaremy i Gryzeldy Konstancji Zamoyskiej, Michał Tomasz, urodził się w gnieździe rodowym – Wiśniowcu (być może jednak stało się to na zamku w Białym Kamieniu opodal Oleska). Istnieje wprawdzie wersja, że podobnie jak Marek i Jan Sobiescy, Michał Korybut także przyszedł na świat w Olesku, podczas wizyty swej matki u Sobieskich, ale biorąc pod uwagę zupełny brak wojennego ducha u młodego Wiśniowieckiego jest to mało prawdopodobne. Matka była wnuczką sławnego Jana, a córką kanclerza wielkiego koronnego, Tomasza (i siostrą Jana juniora zwanego Sobiepanem). Otrzymał imiona po obu dziadkach. Gdybyż jeszcze odziedziczył po Michale waleczność i ambicję, a po Tomaszu rozum!

Dzieciństwo spędzał u babki Katarzyny z Ostrońskich Zamoyskiej w Zamościu, potem w rodowych dobrach: to w Wiśniowcu, to w Białym Kamieniu, to w zadnieprzańskich Łubniach. Po wybuchu powstania kozackiego wraz z matką schronił się w Zamościu. Energiczna rodzicielka podporządkowała sobie jedynaka, który do końca życia pozostał potulnym maminsynkiem. Śmierć Jaremy była olbrzymią tragedią dla 11-letniego Michała i jego matki, ponieważ pozbawieni nie tylko ojca i męża, ale i środków do życia, stali się bezdomnymi egzulantami, czyli wygnańcami. Przepadły bowiem dobra na lewym brzegu Dniepru, a pozostałe zostały zupełnie zniszczone przez Kozaków i Tatarów. Wdowa nie miała nawet za co wyprawić mężowi godnego pogrzebu, a potem żyli oboje z synem na łasce Jana Zamoyskiego, Michałowego wujka. Wujenką Michasia była Francuzka Maria Kazimiera d'Arquien, niegdyś dwórka królowej Ludwiki Marii, która tak korzystnie wydała ją za mąż. Maria nie kochała męża, a szwagierkę Gryzeldę w listach do hetmana Jana Sobieskiego nazywała złośliwie Basetlą.

Za dorastającym sierotą, „lwim pacholęciem”, ujęła się szlachta, na sejmikach domagając się dla niego odpowiedniego uposażenia. A niedawny kandydat do tronu, brat króla Karol Ferdynand Waza, biskup płocki i wrocławski, z wdzięczności za poparcie, którego podczas elekcji udzielił mu Jarema, przygarnął jego syna. W Broku nad Bugiem, w rezydencji biskupów płockich, pobierał więc Michaś czas jaki nauki u ojców

jezuitów. Posiadł tam znajomość kilku obcych języków, głównie łaciny. Kiedy opiekun zmarł, wujek Zamoyski umieścił 15-letniego Michała na królewskim dworze.

WOJEWODZIC RUSKI, CZYLI NIKT

Zaraz potem nastąpił „potop” szwedzki i Michał znalazł się wśród nielicznych dworzan, którzy wraz z obojgiem królestwem wylądowali w Głogówku na Śląsku. Długo tu nie zabawił, bo na koszt królewski najpierw pobierał nauki w kolegium jezuickim w Nysie, a potem kilka lat studiował w Pradze. Po „potopie” przez Drezno i Wiedeń wrócił do kraju, posiadłszy biegłość w posługiwaniu się łaciną, niemieckim, włoskim i francuskim.

Doszła do tego znajomość tureckiego i tatarskiego, nie licząc ojczystych: polskiego i ruskiego – w sumie 8 języków. Cóż z tego, skoro Michał, jak celnie stwierdził pewien historyk, „w żadnym nie miał nic do powiedzenia”. Co gorsza, nie miał nawet, nieborak, wyglądu, tak bardzo matka natura poskąpiła mu łask. Był bowiem chorowity, mizerny, niski, pucułowaty i przedwcześnie wyłysiały, co usiłował bezskutecznie zamaskować komicznie wielką peruką. A że rozumu nie miał też za grosz, więc ubierał się na zachodnią modłę w taki sposób, iż jego braki w urodzie stawały się tym bardziej widoczne, im staranniej próbował je ukryć.

Nie posiadając ani majątku, ani żadnych zdolności, nie piastując żadnego stanowiska, wciąż tytułowany pustym i nic nie dającym tytułem wojewodzica (znaczy – syna wojewody) ruskiego, 20-letni młodzian znów znalazł się na wujowym garnuszku. Ponieważ akurat wybuchła wojna z Rosją, za pieniądze wuja Michał wystawił chorągiew pancerną liczącą stu jeźdźców, ale nią osobiście nie dowodził. Trzy lata później wziął udział w wyprawie Jana Kazimierza na Moskwę, wystawiwszy (znów na koszt wujka) 600-osobowy regiment piechoty cudzoziemskiego autoramentu. A że tym razem stawał osobiście, najpierw zwlekał pół roku z wyruszeniem z Zamościa, a potem postarał się niczym nie odznaczyć i nadzwyczajnie mu się to udało.

Zjednał sobie za to króla, gdy po wojnie, w trakcie sporu dworu z Lubomirskim, wydał Janowi Kazimierzowi listy, które wuj Zamoyski wymieniał potajemnie z przywódcą rokoszu. Król nie omieszkiał wykorzystać ich przeciw krnąbrnemu magnatowi. Wujowi zdarzyło się jednak umrzeć, może z goryczy, zanim zdążył wyciągnąć przykre konsekwencje wobec siostrzeńca-gagatka. Niewdzięcznego Michała spotkała wszak zasłużona kara, bo znów razem z matką został bez środków do życia. Energiczna księżna wnet

rozpoczęła zażartą walkę o spadek po bracie, w której główną przeciwniczką była wdowa po Janie-Sobiepanie Zamoyskim. Piękna Marysiénka szybko wydała się bowiem za hetmana Sobieskiego, po pierwszym mężu żałoby nie nosiła, lecz z pieniędzy za nic zrezygnować nie zamierzała. A w końcu i tak cała ogromna ordynacja dostała się bocznej linii rodu Zamoyskich.

Ten spór nie raz napsuł krwi Michałowi, choć się w niego nie angażował (w nic innego zresztą też nie, takie miał ślamazarne usposobienie), i przypawiał o niejedną przykrość. Tymczasem jednak żył sobie nasz Michaś jak u Pana Boga za piecem, choć skromnie i cicho w Zwierzyńcu pod Zamościem, nie mając nic do roboty oprócz klepania biedy i oddając się z zapalem swej największej namiętności – jedzeniu. Z wolna przybierał więc kształt idealnie go odzwierciedlający – okrągłutkiego zera.

Nosił jednak nazwisko, które coś niecoś znaczyło, wciąż bowiem żywa była pamięć przewag księcia Jaremy. Okoliczna szlachta wybrała zatem „lwie pachole” (co prawda mocno już wyliniałe) posłem na sejm elekcyjny z województwa sandomierskiego. Abdykował bowiem niefortunny Jan Kazimierz i trzeba było wybrać nowego króla. Kto żyw ze szlachty przypasywał więc szablę do boku i ruszał do Warszawy na elekcję.

Pojechał też z małym poczem delegat sandomierski, wojewodzie ruski.

O ROJU PSZCZELIM I „CUDOWNEJ” ELEKCJI

Tymczasem kampania przedwyborcza już od dawna szła pełną parą. Rywalizowały ze sobą głównie dwa stronnictwa – prorakuskie (austriackie) i profrancuskie, a pieniądze z Wiednia i Paryża szeroką strugą płynęły do kieszeni magnatów i zależnej od nich szlachty-klientów. Kandydatów, zarówno polskich, jak i zagranicznych, nie brakowało. Przede wszystkim liczyli się francuscy faworyci, Kondeusze (ojciec i syn), faworyt Habsburgów Karol Lotaryński, 26-letni kawaler, katolik, zdolny i waleczny oraz mocno starszawy książę neuburski Filip Wilhelm z Nadrenii, na którego gotowe były przystać i Francja i Austria, a i wśród polskich magnatów cieszył się sporym wzięciem. Jednak pozostali także mieli swoich zwolenników, zapowiadała się więc twarda i bezpardonowa walka, bo nikt nie miał zamiaru ustąpić ani przebierać w środkach.

Lecz brać szlachecka, pamiętając niefortunne rządy Wazów, dość już miała zarówno obcych władców, jak i szarogęszenia się magnaterii, coraz widoczniej chwytającej ster władzy w państwie i popierającej cudzoziemców. Żaden magnat nie miał bowiem zamiaru czapkować drugiemu, a już broń Boże pomóc mu wdrapać się na tron, choć sam chętnie by się tam usadowił.

Ogół szlachecki ufał zaś, że najlepszy byłby rodak, byle niebogaty, z jednej strony dobrze znający krajowe bolączki, z drugiej zbyt słaby, by zagrozić „złotej wolności”. Domagano się więc krajowca-Piasta, jak go nazywano ze względu na pierwszą, rodzimą dynastię. Zresztą właśnie wtedy zyskała ona swoje miano, pod którym zna ją dziś każde dziecko, wcześniej bowiem o potomkach legendarnego Piasta mówiono „panowie przyrodzeni”.

Nie wiadomo, kto pierwszy wysunął kandydaturę „czarnego konia”, czyli absolutnego fuksa, wojewodzica ruskiego. Chyba podkanclerzy koronny i biskup chełmiński Andrzej Olszowski, który najpierw popierał Lotaryńczyka, ale poznawszy nastroje szlacheckie, przerzucił się na Piasta. Napisał broszurkę i powieliwszy ją, rozdawał posłom, zalecając Michała Tomasza jako potomka bohatera spod Zbaraża i Beresteczka. Przy tym biednego jak mysz kościelna, wobec czego ojczyzna powinna mu to jakoś wynagrodzić, pobożnego katolika, znającego obce języki, ale niezbyt mądrego, za to cnotliwego, młodego, niedoświadczonego i mało ambitnego, więc niegroźnego dla „złotej wolności”. I tak wady Michała okazały się jego wielkimi zaletami, on zaś – kandydatem idealnym.

W dniu wyborów 19 czerwca 1669 r. na placu boju pozostało już tylko dwóch liczących się rywali: Neuburg i Lotaryńczyk. Po kilkugodzinnym omawianiu kandydatów wydawało się, że zdecydowaną przewagę osiągnął ten pierwszy. Aż tu stał się cud (mniemany) i po zliczeniu wszystkich głosów okazało się, że 21 województw na 37 opowiedziało się za Michałem.

Imaginacja 15

Dwa dni wcześniej doszło do potężnej awantury. Gdy szlachta pojęła, że senatorom najbardziej odpowiada kandydat francuski, uczynił się tumult. Podpici i uzbrojeni po zęby panowie bracia sięgnęli po pistolety i dalejże palić w „szopę”, gdzie obradowali senatorowie, wrzeszcząc:

– „Zdrajcy! Wytniemy was, nie wypuścimy was stąd; darmo mieszacie Rzeczpospolitą; inszych senatorów constituemus, ex gremio [postanowimy, spośród nas] sobie króla obierzemy, jakiego nam Pan Bóg poda do serca!” – zanotował w swym pamiętniku imć pan Jan Chryzostom Pasek, co z Czarnieckim Szweda za morze pogonił, sam wydzierając się najętośniej.

Przerażeni magnaci pochowali się w mysie dziury i zalegli plackiem lub próbowali, na czworakach albo wydatnych brzuszyskach (zależy, co komu bardziej wystawało – kończyzny czy żywot), wyczołgać się z „szopy”. Dopiero gdy się trochę uspokoiło, „powyłazili spod krzesel, spod karet, w pół ledwie żywi, i pojechali do gospód, drudzy też, co w polu stali do namiotów. Nazajutrz sesja nie była, bo się panowie smarowali po utrząśnieniu i olejki,



hiacynty pili po przestrachu. Województwa też w pole nie wychodziły, ale w obozie stały”. Zresztą rozszalała się burza.

Wszystko miało się zatem rozstrzygnąć następnego dnia, 19 czerwca, w samo Boże Ciało. Atmosfera wciąż była napięta, no bo jeśli żaden cudzoziemiec, to kto? Wtem nad Wolą i głowami zgromadzonych pojawił się pszczeli rój i zaczął zataczać kręgi.

– To znak! Palec Boży! – zawołał biskup podkanclerzy, Andrzej Olszowski. – Toć praszczur nasz, Piast, kołodziejem i bartnikiem był! Piasta nam trza!

– Piasta chcemy! – wrzasnęli najbliżej stojący.

Pan Pasek, który dla zasięgnięcia języka objeżdżał grupy z innych województw, gdzie radzono pod przewodem wojewodów, posłyszał to i czym prędzej pognął do swoich Krakowiaków.

– „Mości panowie, już w kilku województwach zanosi się na Piasta!”

Spytał go przytomnie wojewoda:

– „A na któregoż?”

Wzruszył bezradnie ramionami pan Pasek, bo wszak kandydatów było paru.

– Patrzcie za pszczolą jak za panią matką! – krzyknął ktoś.

Zaczęli więc wszyscy w napięciu obserwować pszczolę. Te zaś chwilę zatrzymały się nad głową siostrzeńca hetmana Sobieskiego, księcia Janusza Ostrońskiego-Zastawskiego, ale wnet poleciały dalej. Księciu zrzęda mina. Nad hetmanem polnym koronnym, dumnym gwałtownikiem Dymitrem Wiśniowieckim (dalekim krewnym Michała), zmitrężyły akurat tyle, by zapaskudzić mu paradny kontusz. Książę nie posiadał się z wściekłości i zawodu. Najdłużej kołowały nad zacnym oficerem jazdy Aleksandrem Polanowskim, ale i jego ominęły, by w końcu osiąść na chorągwi województwa sandomierskiego. Co to miało oznaczać, pierwszy zorientował się pan podkomorzy i chorąży w jednej osobie Michał Marcin Dębicki, który cisnął czapkę w górę i wrzasnął na cały głos:

– „Vivat Piast! Vivat rex Michael!”

– Vivat! – podchwycili zaraz Sandomierzanie, za nimi Krakowiacy i następne województwa.

„A on [Michał] siedzi między szlachtą pokorniusieńki, skurczył się, nic nie mówi”.

Jak to było możliwe? Co się stało? Tego do dziś z pewnością nie wie nikt i różnie powiadają. Ponoć, gdy już stronnicy obu Niemców mieli się wziąć za łby, nagle na chorągwi sandomierskiej, zatoczywszy wprzód koło, niespodziewanie

usiadł rój pszczół, co wzięto za wróżbę, niechybnie wskazującą Piasta, jak wiadomo kmiecia, kołodzieja i bartnika. A ponieważ w szeregach Sandomierzan najgodniejszy był wojewodzie Wiśniowiecki, więc znany i wyszczekany pyskacz i obrońca „złotej wolności” (jak wówczas mówiono – popularysta), ulubieniec panów braci Michał Dębicki pierwszy wrzasnął jego imię.

A potem już poszło: podawano je sobie z ust do ust, tylko Litwini protestowali, ale i ich przekonał wymowny biskup Olszowski. Najbardziej zaskoczony był król-elekt, który przycupnął między Sandomierzanami jak mysz pod miotłą i wedle pamiętnikarza Paska „pokorniusieńki skurczył się, nic nie mówi”. „Nie spodziewając się dostąpić tej najwyższej godności, stracił prawie przytomność z wielkiego zdziwienia, i nie wiedział przez chwilę, co odpowiedzieć senatorom i posłom, którzy mu przyszlizli winszować. Matka jego, będąca podówczas w Zamościu, odebrawszy tę wiadomość, nie chciała jej wierzyć z początku”, zanotował nuncjusz papieski Marescotti. Nie odmówił jednak Michał zaszczytu i nie odrzucił korony, choć musiał wiedzieć, że nie udźwignie jej ciężaru. Może bał się gniewu rozentuzjasmowanej szlachty, a może, ponieważ był bardzo dumny, wręcz pyszny, mile połechtano to jego miłość własną?

Najwięksi magnaci dostali szału, że będą musieli czapkować marnemu książętku. Byli jednak bezsilni, mimo swych nadwornych regimentów, bo rwącej się do szabel, rozgorączkowanej i rozwrzeszczanej (ale trzeźwej, gdyż marszałek Sobieski kazał tego dnia pozamykać wszystkie szynki w stolicy) szlachty było ponoć 80 000. Mogli tylko wypominać:

– „Coście to za króla obrali, który szóstaka nie miał, za co sobie grzebienia kupić?” – zapomnieli widocznie, że Michał właściwie grzebienia nie potrzebował, bowiem wcześniej wyłysiał.

Zaś najbardziej wściekły był prymas Mikołaj Prażmowski, który ogłosił wybór króla i nawet włożył mu na głowę dla większej pompy swoją infułę, ale uczynił to tak chętnie, jak, zdaniem złośliwego pana Paska, „właśnie kiedy owo wilka zaprzęgą do pługą i każą mu gwałtem orać”. Natomiast Jan Sobieski podniósł w górę swą marszałkowską laskę i obwołał głośno nowego króla, pod nosem klnąc straszliwie, na szczęście po francusku.

I tak oto stało się zupełnie jak w bajce – kopciuszek został królem! Zaś wyborcy-szlachcice w ciągu następnych dni znosili mu dary, żeby nie musiał przed wielmożami świecić swym ubóstwem. Całą stajnię zapełniono mu pięknymi rumakami, izby na zamku warszawskim pękały od przeróżnych prezentów. Każdy starał się dawać, co miał najcenniejszego, biedniejsi choćby parę pistoletów.

Od samego początku nowy król miał wrogów pod dostatkiem. Najbardziej rozeźleni byli Francuzi, którzy nie tylko zostali wzgardzeni przez Polaków, ale stracili dwa i pół miliona liwrów! Nie mniejsza złość rozpierała krajowych magnatów. Tym jakby ktoś w pysk dał przez wyniesienie ubogiego książątka, którego jedynym atutem było zasłużone nazwisko. Poza tym wzięli od obcych za ich popieranie wielkie łapówki i teraz musieli się gęsto tłumaczyć ze spaprania sprawy. Wnet zawiązało się więc sprzysiężenie malkontentów, czyli niezadowolonych z wyniku elekcji. Należeli doń prymas Mikołaj Prażmowski, marszałek wielki koronny i hetman wielki koronny w jednej osobie Jan Sobieski, hetman polny litewski Michał Kazimierz Radziwiłł, sławny poeta i podskarbi Jan Andrzej Morsztyn i wielu innych.

Za królem opowiadała się natomiast brać szlachecka, w tym krzykacze sejmowi, obrońcy „złotej wolności”, a więc zwolennicy jak największego osłabienia królewskiej władzy. Kiepskie więc to było poparcie dla monarchy i do wykorzystania tylko z okazji pospolitego ruszenia. Na co dzień Michał mógł liczyć na niewielu doradców – biskupa Olszowskiego i rywalizujących z Radziwiłłami o wpływy na Litwie Paców: kanclerza wielkiego Krzysztofa i hetmana wielkiego Michała Kazimierza, na domiar skłóconych z Olszowskim.

W same imieniny, 29 września, spotkał Michała najlepszy prezent – został koronowany na Wawelu (wymienił sobie przy okazji drugie imię na zawołanie herbowe, ale i tak po staremu używał tylko pierwszego imienia) i to była jedna z niewielu przyjemnych chwil jego krótkiego panowania. Bo sejm koronacyjny w październiku został zerwany, gdyż przeciwnicy króla w porozumieniu z Francją uknuli spisek, by nie dopuścić do małżeństwa króla i doprowadzić do jego detronizacji.

A Michał jak zwykle nie robił nic. Wysiadywał tylko po kościołach lub na ucztach, a na posiedzeniach sejmowych nudził się i milczał jak grób, ożywiając się tylko podczas kłótni w sprawie spadku po wujku Zamoyskim. Za to energiczny Olszowski szybko zakrzętnął się w sprawie ożenku Michała i znalazł mu żonę w Wiedniu. Mnich-kameduła Silvano przemycił z Wiednia do Warszawy pod habitem konterfekt kandydatki, która spodobała się królowi. Przybyła więc do Polski i została jego żoną cesarska przyrodnia siostra, zakochana w Karolu Lotaryńskim 16-letnia arcyksiężniczka Eleonora Maria Józefa. Bardzo ładna i zgrabna (jak na Habsburżankę), co musiał przyznać nawet wrogi królowi Jan Sobieski.

Ślub odbył się w lutym 1670 r. w Częstochowie, pod cudownym obrazem Matki Boskiej. A podczas uczty weselnej zjedzono 300 bażantów, 5000 kurapatw, 6000 indyków, 3000 cieląt, 400 wołów, 4000 baranów, 5000 jagniąt, 100 jeleni, 5 łosi, 2000 zajęcy, kilkadziesiąt dzików, nie licząc całych gór owoców, konfitur, ciast i innych łakoci, a wszystko to zapijane wieloma beczkami wina, piwa i miodu. Była to chyba największa uczta w dziejach Polski, a z pewnością najpiękniejszy dzień w całym królowaniu Michała, który za stołem czuł się jak ryba w wodzie lub raczej jak pączek w maśle. Powiadano, że za jednym zamachem potrafił pochłonąć tysiąc pomarańczy! Nie zważyło mu humoru nawet to, że pewien podchmielony i zuchwały szlachciura pociągnął Eleonorę za bujne włosy, by przekonać się, czy nie nosiła peruki. Wyrozumiała królowa darowała pijanemu prostakowi obrazę majestatu, widocznie uznając, że takie są polskie maniere, a „stan wskazujący” – przyrodzony jej nowym poddanym.

Choć Eleonora miała pierwotnie wyjść za Karola Lotaryńskiego, który z kolei miał zostać królem polskim, to jednak okazała się wierną i lojalną żoną Michała. Podobno nauczyła się trochę polskiego, ale wedle innych nie umiała po polsku ani w ząb, tym bardziej po rusku, więc na wszelkie pytania i prośby odpowiadała po włosku: *molto bene, molto bene*, czyli: bardzo dobrze. Kiedyś przyszli do niej Kozacy rejestrowi, upomnieć się o zaległy żołd i tak się skarżyli:

– „*Miłostywa pani, pozdychamo z hołodu!*”

Ona zaś, z miłym uśmiechem, odparła im jak zwykle:

– „*Molto bene, molto bene*”.

Ale w ogóle była miła i dobra, i wnet zyskała sobie, zwłaszcza że nie chciała intrygować na rzecz Habsburgów, powszechną sympatię i szacunek. Odwrotnie niż jej małżonek, którego miernota i nicość stawały się coraz bardziej widoczne. Leniwy i gnuśny jak mops (którego zresztą z wyglądu bardzo przypominał), odznaczał się przy tym odstręczającą pychę i wyniosłością, co przy braku rozumu nie jednało mu sympatyków. Nawet poseł austriacki baron August Mayerberg nie znalazł w cesarskim szwagrze żadnej pozytywnej cechy, choć szukał jej pilnie i ze świecą. Musiał jednak powiadomić Leopolda o lekkomyślności, próżniactwie, nieznośnym zadzieraniu nosa i nieudolności Michała, który na dodatek był chorobliwie podejrzliwy, pamiętliwy i mściwy. W ciągu półrocza od koronacji król-niedołęga ponoć tylko 3 (słownie trzy) razy dosiadł konia i potem odchorowywał w łóżku ten straszny wysiłek. Narad unikał jak mógl, a senatorowie i ministrowie nie mogli się doczekać na audiencję, bo król wołał w tym czasie plotkować z dworzanami, a nawet

ze służbą. Był skąpy i chciwy, łamał obietnice i zdradzał tajemnice (wujek Jan mógłby coś o tym powiedzieć, gdyby żył), nie umiał podejmować decyzji, we wszystkim zdając się na doradców. A przy tym ubierał się po francusku, ale raczej jak ongiś król Henryk Walezy, a nie prawdziwy mężczyzna. Malował twarz barwicznymi i szminkami, a od królowej wołał towarzystwo ulubionych dworzan, zwłaszcza niejakiego Konarzewskiego.

Nie dziwota więc, że przybywało Michałowi wrogów, którzy jak hetman Sobieski przezywali go pogardliwie już to „małpą”, już to „zastrachaną sową”. Mówili też o nim: „Michał Skrobibut, król polski z łaski Andrzeja Olszowskiego” albo po prostu „malowane ryło”. Ale szlachta wciąż stała murem za swym wybrańcem i uratowała dla niego tron. Malkontentów trochę zmiętygował świetny ożenek króla, którego sławny ojciec i dobra żona okazali się jedynymi atutami. Ale dopiero zwołane przez króla pospolite ruszenie szlacheckie nareszcie naprawdę wystraszyło i uspokoiło wichrzycieli, więc kolejny sejm zatwierdził ostatecznie elekcję Michała i jego małżeństwo. Przeprowadzono (w Warszawie) koronację Eleonory, a prymas musiał publicznie przeprosić króla. Na razie zapanował więc jakiś taki spokój i można było pomyśleć o innych sprawach, a był już na to czas najwyższy.

O NIEPOKOJACH W KRAJU I NA GRANICY

Kozaków nic nie nauczyło poprzednie nierozsądne postępowanie, które doprowadziło do podziału Ukrainy między Polskę a Rosję. Nowy hetman zaporoski Piotr Doroszeńko dla odmiany pokumał się teraz z Turcją i poddał jej Ukrainę. Rzecz jasna polską część, bo w rosyjskiej Ukraińcy bali się nawet głośno oddychać, gdyż tam byle kichnięcie „Małorusinów” mogło się skończyć straszną rzezią, z miłą chęcią urządzoną im przez umiłowanych starszych braci – „Wielkorusów”.

W 1671 r. nastąpił najazd kozacko-tatarski na Rzeczpospolitą. Hetman Sobieski kilkakrotnie pogromił napastników. I byłby pewnie zniósł ze szczerem Tatarów i zbuntowanych Kozaków, zapewniając Ukrainie tak potrzebny święty spokój, gdyby otrzymał wsparcie. Jednak hetman litewski Pac, osobisty wróg Sobieskiego, podburzył swoich żołnierzy, którzy wrócili do domów, a król zawiódł jak zwykle. Niby wyruszył na wojnę, ale tak marudził i kalkulował, byle na nią nie zdążyć. I udało mu się, bo tygodniami wysiadywał w Lublinie, potem w Zamościu, a najdłużej we Lwowie. Zaś jego doradcy, kanclerz Pac i podkanclerzy Olszowski, zabijali czas kłócąc się ze sobą na potęgę. Tym sposobem doczekał Michał zimy i ze spokojnym sumieniem mógł wrócić do Warszawy.

Akurat zdążył na czas, by powitać czausza, czyli wysłannika sułtana Mehmeda IV, który przybył w grudniu do stolicy z oficjalnym wypowiedzeniem wojny. Mimo to na sejmie zwołanym na początek następnego roku zamiast do wojny król szykował się do rozprawy z malkontentami, zwłaszcza że szlachta na sejmikach wciąż deklarowała mu swoje poparcie i oddanie. Jątrzył zatem Sobieskiego, upokorzył też prymasa, który ponad godzinę czekał na audiencję, bo król przeciągał obiad. Może zresztą wcale nie przeciągał, bo ostatecznie obżerać się lubił najbardziej. Malkontenci próbowali zmusić króla na sejmie do abdykacji, ale sejm został zerwany i prymas (przezywany Cyklopem z powodu braku oka) miał żądać, mógł tylko grzecznie poprosić króla o złożenie korony, na co dostał taką szorstką odpowiedź:

– „Wiem, żeś waszmość jeden mnie koronował, ale nie jeden obierał. Jeżeli wszyscy na to pozwolą i zgodzą się, barzo rad do tychże rękę oddam, z których wzięłem, koronę, przez co przynajmniej ujdę *tantam servitutum* [tak ciężkiej niewoli] od was, którzy mnie nie tylo ani jako pana, ale nawet ani jako księżęcia starożytnej familii, ani jako równego sobie traktujecie”.

Na to prymas:

– „To Wasza Królewska Mość chcesz, żeby się krew niewinna przelewała?”

Na to król:

– „Sam waszmość tego chcesz i chcesz ręce kapłańskie kąpać we krwi niewinnej”.

Na to prymas:

– „*Protestor* przed Bogiem, że co się tylko stanie to się za powodem WKMcI stanie”.

Na to król:

– „Po tysiąckroć razy przed tymże Bogiem protestuję, że cokolwiek było, jest i będzie złego, to wszystko jest i będzie z waszmości [winy]”.

Mocne słowa, widać Michał jednak czasem miał coś sensownego do powiedzenia, przynajmniej w ojczystym języku. Poczucie godności też nie było mu obce. Na szczęście, jak to w Polsce („krew z piwa nie burzliwa”, mawiała królowa Bona o Polakach), nikt zbyt nie palił do ostatecznej rozprawy. A spiskowcom nie przyszło do głowy, jak to bywało w mniej zacofanych krajach, zamordować króla. Niemniej nie na żarty pachniało wojną domową i nikt nie miał głowy do zajmowania się takimi drobiazgami, jak odzyskanie utraconego lenna pruskiego. Akurat bowiem mieszkańcy Prus Książęcych zbuntowali się przeciw swemu brandenburskiemu księciu i chcieli powrotu do Polski, od której oczekiwali pomocy. Jednak elektor Fryderyk Wilhelm kazał porwać z Warszawy, sprzed samego królewskiego nosa!, przywódcę powstańców, pruskiego szlachcica Krystiana Kalksteina-Stolińskiego, którego

potem torturował w lochach twierdzy w Kłajpedzie, a na końcu skazał na ścięcie. A choć król Michał upomniął się o nieszczęśnika, to potem miał co innego na głowie (Turków, i liczył na pomoc elektora pruskiego) i tak przepadła kolejna okazja wcielenia Prus do Polski.

Przyszła jednak nie w porę, w obliczu śmiertelnego zagrożenia ze strony największej potęgi europejskiej. Bo Turcy już pukali do bram Rzeczypospolitej, a nikt oprócz hetmana zbyt nie tym nie przejmował. Jak posłowie, których największym zmartwieniem był cudzoziemski strój króla albo owa niewiasta, jejmość Kunicka, która wmieszała się między posłów i upomniwała o swoją krzywdę, wyrządzoną jej przez jednego z senatorów.

– „Nie przeszkadzaj wmc, bo my teraz o obronie granic radzimy!” – napomniął ją marszałek.

– „Co mi po obronie Rzeczypospolitej? Co wasze miłości w niej obronicie, jeśli pan wojewoda gorszy niż orda!”

I postawiła na swoim – zmieszany magnat zapłacił jej 2000 złotych i oddał jednego ze zbiegłych chłopów. A sprawa granic musiała poczekać.

Z POHAŃCEM SPRAWA HANIEBNA

Odpowiedzialny za prowadzenie wojny hetman Sobieski, lękając się szlachty wrogiej malkontentom, nie chciał zwołania pospolitego ruszenia, ale większość senatorów była przeciwnego zdania. Zatem król rozesłał wici, tak apelując do szlachty:

– „*Concurrite, cives, moenia civitatis labuntur!*” – czyli: przybiegajcie, obywateli, z pomocą, walą się mury państwa.

Sprawdziły się obawy malkontentów, gdyż gromadząca się na wojnę szlachta zażądała sądu nad wicherzycielami, obwiniając ich nawet (niesłusznie) o wywołanie wojny z Turcją. Domagano się też, by papież usunął prymasa ze stanowiska. Tymczasem Turcy, do których przyłączyli się osiadli na Litwie Tatarzy – Lipkowie, oblegli Kamieniec Podolski. Potężną armią osobiście dowodził w złotym pancerzu sam padyszach Mahomet IV wraz z wielkim wezyrem, chanem tatarskim Selimem Girejem i Piotrem Doroszeńką. Mimo bohaterskich starań załogi na czele z komendantem, dzielnym pułkownikiem Jerzym Wołodziejowskim, twierdza musiała się poddać pod koniec sierpnia owego „haniebnego” roku 1672. Mieszkańcom zapewniono nietykalskość, wojsko mogło odejść spokojnie. Jednak dowódca artylerii, Niemiec albo Szkot, Heyking czy Hekling, przypadkowo lub celowo zaproszył ogień w prochowni i zamek wyleciał w powietrze, grzebiąc między innymi

pułkownika Wołodujowskiego, „Hektora kamienieckiego”. Potem po kolei padały Zborów, Złoczów i Buczacz, wykupił się po kilkudniowej obronie Lwów. Buczacz uniknął rzezi, gdy żona wojewody brackowskiego Jana Potockiego, właściciela miasta i twierdzy, pod nieobecność męża uznał za beznadziejną, przez posłańców oznajmiła sułtanowi, że nie zyszcze wielkiej sławy, pokonując słabą niewiastę. Mehmed IV po rycersku wstrzymał ostrzał, a nawet łaskawie udzielił audiencji wojewodzinie i jej dzieciom, które pogłaskał po głowie i zwrócił im klejnoty podarowane mu przez ich matkę. Najeżdżczego pochodu jednak to wzruszające wydarzenie nie powstrzymało, choć odbiło się głośnym echem w Rzeczypospolitej.

Na szczęście hetman Sobieski z nielicznym wojskiem znów pogromił tatarskie czambuły („naginęło tego jak psów, a w lasach, po błotach najwięcej tego nabili chłopów”) wdzierające się już w głąb kraju, zniósł ich kosze (obozy) i uwolnił aż 44 000 jasyru. Było wśród brańców mnóstwo dzieci, które rozpierchły się po stepie. Hetman rozesłał wielu ludzi, by je odnajdywali, za każde wyznaczywszy nagrodę.

Na wieść o najeździe polskie ruszenie z wolna zbierało się pod Gołębem nad Wisłą, a król jeszcze wolniej zdążał tam z Warszawy, czekając na pomoc moskiewską, którą mądrzy ludzie, jak wojewoda witebski Jan Antoni Chrapowicki, nazwali „gruszkami na wierzbie”. Pomoc nie nadeszła znikąd, wobec tego król przez swoich komisarzy był zmuszony w październiku do podpisania haniebnego traktatu w Buczaczu, gdzie stanął obóz turecki. Polska zrzekała się całego Podola wraz z Kamieńcem i musiała płacić sułtanowi co roku „upominek” w wysokości 22 000 zł, na znak zależności od Turcji. Kozakom, od niedawna poddanym sułtańskim, trzeba było oddać Ukrainę.

Zaś polskie ruszenie wciąż dopiero się zbierało i to niemiarko, bo nikt nie kwapił się do walki z bisurmanami. A ponieważ zaczęła się jesień plucha, zaraz zaczęto się rozjeżdżać z powrotem, gdyż jak gorzko zauważył hetman Sobieski, każdy szlachcic marzył, by „w domu siedzieć, podatków nie płacić, żołnierza nie karmić, a Pan Bóg żeby za nas wojował”. Wprzód zawiązano jednak konfederację w obronie „pobożnego króla”, która potępiła w czambuł malkontentów, na czele z hetmanem Sobieskim i prymasem Prażmowskim, odsądzając ich od czci, urzędów i majątków. W odpowiedzi Sobieski podburzył wojsko i tym razem wydawało się, że wojna domowa jest nieunikniona.

Na szczęście znaleźli się rozsądni ludzie, którzy pogodzili zwaśnione strony. Na wiosnę nowego roku zjechał się więc sejm pojednawczy, który nareszcie zatwierdził plan obrony państwa i uchwalił znaczne podatki na wojsko.

Wystawiono go ponad 30 000 w Koronie i 12 000 na Litwie, po równo piechoty i jazdy. To była już siła, z którą dobry wódz mógł pokusić się o poskromienie tureckich zapędów.

JAK MICHAŁ NIE DOCZekał

Wojsko gromadziło się w Glinianach koło Lwowa. Król, bardzo już chory i cierpiący na wrzody żołądka, ciągnął z wolna na miejsce zbiórki. Dotarł tam wreszcie na początku października, zdołał nawet wdrapać się na konia i dokonać przeglądu armii, po czym zawrócił do Lwowa, ponoć płacząc, że los nie pozwolił mu walczyć za ojczyznę. W co jednak trudno uwierzyć, pamiętając wcześniejsze Michałowe wojenne przewagi. Na dodatek do Lwowa przybył ze Stambułu turecki poseł Husejn Aga z tajemniczą szkatułą od sułtana i domagał się pilnego widzenia z królem, co było już jednak niemożliwe. Wybuchła panika, bo powszechnie mniemano, że w szkatule znajdował się zielony kaftan hołdowniczy dla króla, co oznaczało wielki wstyd, hańbę i pośmiewisko dla Michała i całej Rzeczypospolitej. Strach miał wielkie oczy, gdyż w szkatułce tureckiego posła, otwartej już po śmierci króla, nie znaleziono żadnego hańbiącego kaftana, tylko pisemne przypomnienie o konieczności wypełnienia warunków traktatu buczackiego.

Tymczasem hetman Sobieski ruszył z wojskiem pod Chocim, gdzie 11 listopada 1673 r. odniósł nad Turkami znakomite zwycięstwo. Król Michał nie doczekał tej wielkiej wiktorii, umarł bowiem dzień wcześniej mając zaledwie 33 lata (a więc w tak zwanym Chrystusowym wieku). Nawet tego sukcesu nie można więc zapisać na konto żałosnego niedojdy, o którym zaraz po śmierci ktoś napisał taki wierszyk:

*Obranie cudem, królestwo kłopotem,
Szkodą złe rady, a szelągi złotem,
Sejmy niezgodą, żona urąganiem,
Dwór nieporządkiem, słudzy oszukaniem,
Senat niedbalstwem, Warszawa więzieniem,
Wiedeń pedantem, obóz uprzykrzeniem,
Strój ukochaniem, a izba zabawą,
Prymas skaraniem, Kamieniec niesławą,
Turczyn ohydą, Gołąb głupstwa świadkiem,
Lwów śmiercią, a śmierć nieszczęścia ostatkiem,
Ten był mój żywot, więcej nic nie znałem,
Nie wiem, czy królem – wiem, że był Michałem.*

Nic dodać, nic ująć. Wybór Michała był dowodem siły szlachty, która dała prztyczka w nos zbyt pewnym siebie magnatom-sobiepanom. Szkoda tylko, że król okazał się takim nieporadnym niezgułą i słabeuszem, niezdolnym z pomocą szlachty najpierw poskromić magnatów, a potem stłumić warcholskie zapędy braci szlacheckiej. No, ale gdyby zdradzał silny charakter, czy ktokolwiek pomyślałby o jego elekcji?

Podjezwano otrucie; rzekomo zatruta miała być pieczona kaczka-cyranka, ulubiona potrawa króla. Sekcja zwłok wykonana przez nadwornego medyka, Szweda Wawrzyńca Brauna, wykazała jednak, że powodem śmierci było co najwyżej zwykłe obżarstwo (król objadł się korniszonami albo chińskimi jabłkami, czyli brzoskwiniami oraz cytrusami) lub jakaś choroba przez nie spowodowana. Być może jednak było odwrotnie – obżarstwo Michała wywołane zostało bulimią, tę zaś spowodował nieustanny stres towarzyszący mu od najmłodszych lat wpierv jako pólsierocie, egzulantowi-tułaczowi, a potem nieustannie krytykowanemu i wyzywanemu od poczwara i małego monarsze. Nie dożył nawet wieku swego ojca, który zmarł tuż przed czterdziestką. Spoczywa król Michał na Wawelu obok swego największego wroga, Jana Sobieskiego. Został pochowany razem ze sprowadzonymi szczątkami Jana Kazimierza, obie trumny dla oszczędności (słynne krakowskie skąpstwo, nazwane później centusiosstwem, wówczas jednak usprawiedliwione zubożeniem miasta po szwedzkim potopie) jechały na jednym wozie z kościoła św. Floriana na Wawel, a za nimi podążał w żałobnych szatach następca Michała, który przybył na koronację. Mógł więc napisać imię Pasek: „wielkiej tedy nowalijej doczekał się Kraków, trzech razem królów polskich *inter moenia* [w murach] przyjmować, dwóch *simul et semel* [równocześnie i jednorazowo] na jednym katafalku, trzeciego widzieć na majestacie”. Trzy w jednym nie jest zatem wynalazkiem naszych czasów.

Na krótkie panowanie (niecałe 4 i pół roku) Michałowe zważyło się wiele nieszczęść, którym nie był winny, ale też nie umiał poradzić sobie w tak trudnej sytuacji, niektóre problemy zaś sam mnożył. W sumie wszak zasługuje na litość, bo rządy, choć tak krótkie, były dlań jednym pasmem udręki i upokorzeń. Nie dał się bowiem lubić, a na szacunek sobie nie zasłużył. Ktoś nazwał go „królem-nieborakiem” i trafił w sedno.

W przeciwieństwie do królowej Eleonory, która była taką kobietą, jakie Polacy lubią najbardziej – pocziwą, uległą, niezbyt bystrą blondynką i (w przeciwieństwie do niecierpianej poprzedniczki Ludwiki Marii) niewtracającą się do polityki uważanej za męską sprawę. Pięcioletnie małżeństwo z Michałem-niedołęgą nie nadważyło jej sił ani urody, gdyż było bezdzietne.

Mąż bowiem unikał żoninej sypialni jak ognia, raz tylko poprosił królową, by zechciała udawać, że spodziewa się potomka. Po śmierci Michała wróciła do Wiednia i wreszcie mogła wyjść za ukochanego Karola Lotaryńskiego. Karol był niewielkiego wzrostu, dziobaty po przebytej ospie, ubierał się byle jak, małowówny, ale dzielny, rozumny i dobry. Zamieszkali w Innsbrucku w Tyrolu, mieli sześcioro dzieci i byli szczęśliwi, co czasem i w życiu, a nie tylko w bajkach się zdarza.